

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 49

Katowice, 11-go grudnia

1932

Niedziela trzecia Adwentu.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Filipensów, rozdz. 4, wiersz 4—7

Bracia! Keselcie się zawsze w Panu: Powtóre mówię, weselcie się. Skromność wasza niech będzie wiadoma wszystkim ludziom. Pan bowiem blisko jest. Nie troszczcie się o nic; ale we wszelkiej modlitwie, i prośbie z dziękczynieniem, niech żądania wasze będą u Boga oznajmiane. A pokój Boży, który przewyższa wszelki zmysł, niechaj strzeże serc waszych i myśli waszych, w Jezusie Chrystusie Panu naszym.

EWANGELJA

zapisana u św. Jana w rozdz. I w. 19—28.

W on czas wysłali Judejczyw z Jerozolimy kapłanów i lewitów do Jana z zapytaniem: Ktoś ty jest? A on wyznał i nie zaprzeczył, ale wyznał: Nie jestem ja Chrystusem. Zapytali go tedy: Cóż więc? Fłaszem ty jesteś? I odrzekł: Nie jestem. — Czy jesteś ty prorokiem? — I odpowiedział: Nie. Rzekli mu więc: Kimże jesteś? byś mu odpowiedź dać mogli tym, którzy nas wysłali: co mówisz sam o sobie? Jam głos — odrzekł — co woła na pustkowiu: „Drogę prostujcie Panu“, jako mówił Izajasz prorok.

A wstańcy należeli do grona faryzeuszów. To też postawili mu pytanie i rzekli doń: Dlaczego więc chrześcisz, jeśli nie jesteś ani Chrystusem, ani Eliaszem, ani prorokiem? Odpowiedział im Jan, mówiąc: Ja chrzczę wodą; ale wpośród was stanął Ten, którego wy nie znacie: Tenci jest, który przwidzie po mnie, który istniał przede mną, a jam niegodzień rozwiązać rzemyka u sandałów Jego.

To działo się w Bytanji, za Jordanem, gdzie Jan chrztu udzielał.

NAUKA.

„Ktoś ty jest?”

Z takim pytaniem zwrócili się faryzeusze do św. Jana. „A on wyznał i nie zaprzeczył, ale wyznał“, kim nie jest i kim jest.

„Ktoś ty jest?” — Czyś stawiał sobie już kiedy to pytanie, od którego los twój ziemski i wieczny zależy? Czy też umiesz po prawdzie wyznać i nie zaprzeczyć, kim jesteś?

Może uważasz się za człowieka dobrego, uczciwego, zacnego, pobożnego, gdy tymczasem ludzie inaczej cię osądzają, a jeszcze inaczej wie o tobie Bóg?

Trojaki oblicze ma istota duchowa człowieka: jedno przeznaczone dla ludzi, drugie dla niego samego, trzecie dla Boga. Pierwsze dwa są fałszywe i złudne, prawdziwe jest tylko ostatnie.

Lecz człowiek woli się łudzić, dlatego trudno mu zdobyć się na poznanie prawdziwego swego oblicza.

Według św. Jana Apostoła wytryskują trzy źródła, z których mętnymi falami rozlewa się po świecie grzech, występki i zbrodnia. „Albowiem wszystko, co jest na świecie jest pożądliwość ciała i pożądliwość oczu i pycha żywota“.

W młodości nęci człowieka szczególnie pożądliwość ciała, w wieku dojrzałym pycha żywota, na starość pożądliwość oczu.

A ty, nad którem z tych źródeł zatrutych chłynie się pochylasz?

Czy badasz swe myśli, pragnienia, marzenia? O czym najchętniej mówisz? Jakich się grzechów stale spowiadasz? Jeśli już masz szczerą odpowiedź na pytanie: „ktoś ty jest?” — kiedy rozpoczniesz pracę nad sobą?

Św. Jan Apostoł powiada dalej: „A świat przemija i pożądliwość jego. Lecz kto czyni wolę Bożą, trwa na wieki“. Amen.

Zapomniany naród.

(Dokończenie).

„Ruina to wielka“, to znaczy „zwaliska wielkie“ — wvraził się jakiś obcy badacz, pisząc o tych Słowianach nad Łabą (Elbą) i o tych, co to nad morzem bałtyckim niegdys licznie byli rozsiedleni. Tak, ale „ruina wielka“ świadczy, że istniała tu równie „wielka“ budowla ludu słowiańskiego, którego ziemie sięgały na północ do morza bałtyckiego, na zachód daleko poza Elbę. Tak zwani dziś Łużycanie czyli Serbo - Łużycanie albo Wendowie stanowią odłamek owej wielkiej niegdys budowli, odłamek olbrzymiej rodziny słowiańskiej, rozsiadłej swego czasu gęsto nad rzekami Elbą (po słowiańsku Łobjo) Sałą (po słow. Solaną) i Odrą (po słow. Wódrą), Ziemię zamieszkałą obecnie przez Serbo - Łużycan, zwą Łużycami, a dzielą je na pruskie i saskie,

a te znów na „Górne“ z głównem miastem Budziszynem i na „Dolne“ z miastem Chociebużem.

Ta część Słowian, do której należą Łużycanie, nie stanowiła nigdy jednolitej całości, to znaczy, że pojedyncze plemiona nie połączyły się w jedno, jak to naprzykład uczynili przed wiekami Polacy, lecz żyły sobie każde dla siebie, a co gorsza: w bezustannych rozterkach nawewnątrz, a w tragicznych walkach na zewnątrz. Walki te trwały wieki, a skończyły się upadkiem i ujarzmieniem tej części Słowiańszczyzny. — „W jedności siła!“ Tej jedności im brakło; niebezpieczeństwo nawet ich nie jednoczyło, były próby wspólnego działania, ale częściej nienawiść ku zewnętrznym wrogom szła w parze z wewnętrznymi rozterkami, a tym sposobem Niemcy znajdowali zawsze w jednym z plemion pomoc i sprzymierzeńca. Przyczynę upadku tej olbrzymiej rodziny słowiańskiej upatrują nawet obcy,

nietylko w zewnętrznych okolicznościach! Ujarz-
mienie ich to wielka nauka i przestroga!

Ziemie zamieszkała przez Serbo - Łużyczan (czewli Wendów), — podobnie jak lud tam osiadły, nie nosiła również ogólnego miana, lecz była siedzibą licznych rodów, plemiennością połączonych w niewielkie związki, które przybierały osobne nazwiska, jak Milczanie, Łużyczanie, Holeszyńce, Serbiszty itd., skupieni z czasem w Mileczan, Łużyczan i Serbów (Sorbów), znanych dziś pod nazwą Serbów-Łużyczan, czyli jak mówią niektórzy, połabskich Serbów, zwanych przez Niemców Wendami.

Cieężkie koleje przechodziły ziemie serbo-łużyckie, szarpane wewnątrz i zewnątrz, najeżdżane, poczynawszy od Karola Wielkiego i Henryka Ptasznika (927), cesarza niemieckiego; przeżyły wojny Bolesława Chrobrego, króla polskiego († 1025 r.), z cesarzem niemieckim Henrykiem II o prawa do Łużyc. Krwawo dały im się we znaki rządy margrafów miszońskich, (z których jeden margraf Gero — podług podania — zaprosił 30 książąt serbskich na ucztę i kazał ich zamordować), a utworzenie marchii brandenburskiej zadało śmiertelny cios swobodzie Serbo Łużyczan. Nastąpiły długie lata sporów, zatargów i nieustannych walk o władanie Serbo - Łużyczanami, które stawały się własnością raz jednych, to drugich, przypadają w odstępach czasu częściowo lub w całości Czechom, aż ostatecznie podzielone między Saksonję i Prusy, dziś także do nich należą.

Powiedziano wyżej, że ten lud pomimo rozdwojenia i prześladowania wiekowego „jest“ przecież, że istnieje dotychczas, choć w zmniejszonej bardzo liczbie; zachował swój język, obyczaje i strój. A czyjaż to zasługa? Różnych działaczy i miłośników narodu tego, różnych patriotów, którzy powstawali od czasu do czasu, jakby z popiołów wskrzeszeni, i czuwali nad tem, by lud ten nie zginął zupełnie, by przetrwał. Prawdziwie opatrznościowi byli to ludzie i powiedzieć można, że chyba tylko pomocą Bożą wspierani, zdołali zdziałać tyle wśród tak ciężkich okoliczności! Gdy się bowiem rozważy, że po podbiciu i ujarzmieniu tych plemion przez Niemców, „z wolnych rolników zrobiono chłopów niewolnych“, których ziemie podzielono między panów tego kraju; pozbawiono ich wszelkich praw, przeciążano podatkami i pracą, wprowadzono przesiedlanie ich do niemieckich stron, rugowano język i wmawiano w nich, że są „czemś niższem“ od Niemców; gdy się rozważy, — pwtarzam, — to wszystko, to zadaje się mimowoli pytanie, jak oni mogli to wszystko wytrzymać i jak się to stało; że dotrwało ich stosunkowo tylu do dzisiaj?!

Jedni podają, że jest ich około 180 000, inni, że wiele mniej. Naturalnie, że zależy to od zapytania, bo jeśli naprzykład ktoś zapisze dziecko serbskie za niemieckie dlatego, że ono mówi przeważnie tym językiem lub zaliczy dorosłego Serba do Niemców z powodu, że lęka się on publicznie mówić własnym językiem w obawie prześladowania, jak mi wyznał jeden zacny Łużyczanin, to wtedy, — rzecz jasna — ilość Serbów zmaleje, natomiast Niemców wzrośnie.

Wróćmy jednak do tych „opatrznościowych ludzi“; byli tam i duchowni i poeci, i tacy, co to z całym poświęceniem przebiegali kraj wzdłuż i wszerz, badając, krzepiąc, uświadamiając. Wymienię tylko niektórych: z dawnych Met Lubjenski, poeta Lejler, dr. Jordan, prof. dr. Pfuła (po niemiecku zwany Pfuhl), X. M. Hórnik, Smoler, (po serbsku Smolerja), (po niemiecku Schmalder zwany), z późniejszych dr. Muka i inni. Krzepili oni ducha narodowego, pisząc

poezję i wydając czasopisma i dzienniki, zakładając towarzystwa i czytelnie, starając się o wprowadzenie języka serbskiego do nauki dzieci, do nabożeństw i kazań. Poznałam kilku z działaczy i pracowników serbskich nowoczesnych. Jak oni się cieszą, gdy widzą, że ktoś interesuje się ich małym narodem! Z jaką serdeczną ardością pokazywał mi X. kanonik Rezak, swego czasu kapelan nadworny królewski w Dreźnie, tłumacz Pisma św. (Starego Testamentu) na język serbski, katechizm serbski i z jaką uprzejmością dawał mi różne objaśnienia! Działo się to z początkiem wojny światowej w r. 1915, kiedy Saksonja jeszcze była pod rządami królów saskich, którzy byli katolikami choć cały naród był i jest protestancki. Przeszli oni, to jest książęta panujący w Saksonji, na naszą wiarę swego czasu (w r. 1697), gdy dwóch z nich, jeden po drugim, na królów polskich zostało wybranych.

Wśród Serbo - Łużyczan żyje poczucie braterstwa z nami jako z pokrewnym narodem, a że uczucie to nie jest martwym, na to jeden przytoczę dowód: mianowicie opieką i staraniami, jakie rozciągał X. Jerzy Winger, proboszcz w Lubji na Łużycach, nad wygnańcami i żołnierzami polskimi w czasie światowej wojny; gromadził dla nich książki polskie, opłatki na Boże Narodzenie, przesyłał wiadomości o rannych i pisał odezwy do naszych gazet, kładąc pod swem nazwiskiem podpis: „Serb łużycki, pobratymiec polski“.

Wojna światowa nie przyniosła Łużyczanom wyzwolenia, choć były robione ku temu starania i „jeździli nawet wysłannicy z łona jednego z narodów koalicyjnych“, iak pisała o tem pewna berlińska gazeta, „by propagandę robić“ na rzecz „wendskiej republiki“.

Łużycanie zostali pod Prusami i Saksonją i nadal podzieleni są na Dolnych i Górnych Łużyczan i nadal ciężką mają dolę, pod wielu względami może cięższą nawet niż przed wojną. Trzymają się jednak, choć z trudem, a jednym z czynników, pomagających im w zachowaniu ich plemiennej odrębności, ich narodowego żywiołu, to są studenci łużycy, którzy wyszli z tego dzielnego ludu serbo - łużyckiego.

Powiedziano, że są Dolne i Górne Łużycy. Między jednymi a drugimi istnieją znaczne pod wielu względami różnice.

Już same nazwiska tych krain wskazują, że muszą się one różnić między sobą, i jest tak w rzeczy samej: podczas kiedy „Górne“ mają wzgórza i góry, kryte lasami, „Dolne“ nazwać można podobnie jak owo sławne włoskie miasto na wodzie Wenecję „krainą na wodzie“. Rzeka „Spree“ (Spriewia), nad którą leży Berlin, a która jest „przewodnią drogą“ z Górnych Łużyc do Dolnych, szeroko się rozlewa koło Chóśobuza (po niemiecku Kottbus, głównego miasta Dolnych Łużyc, i wraz ze swemi mnogimi dopływami tworzy błota wielkie, tak zw. „las sprowiański“ (po niemiecku Spreewald) czyli „łużyckie błota“.

„W otoczeniu łąk, drzew i pełnych wody rowów i przekopów, tudzież w oddali ciemniejących lasów szpilkowych, leżą porozrucane mieszkania ludzkie. Każda zagroda oddzielona jest od drugiej groblami i rowami wodnymi. Na błotach łużyckich nie usłyszysz turkotu wozów, nawet taczki są tam prawie nieznanne. Komunikację umożliwiają tylko łodzie lub wysokie i wąskie kładki, czyli ławy, a w zimie łyżwy i sanki. Łódź dla Serba dolno - łużyckiego jest niemal drugim jego ogniskiem domowym; na niej spędza większą część swego życia“.

Na łodziach wiozą niemowlęta do chrztu do kościoła, na łodziach sunie orszak weselny do ślubu, na łodziach odprowadzają nieboszczyka na miejsce wiecznego spoczynku. Łodzią zwozi Łużyczanin drzewo z lasu i paszę z łąk dla bydła. Łodzią dostają się dzieci do szkoły, pobożni w niedzielę i święta do kościoła, w dzień powszedni robotnicy do prac; a także bydlę przewozi się łodzią na pastwisko.

Najprzykrzejsze chwile przechodzą tamtejsi mieszkańcy w jesieni i na wiosnę; wtedy to bowiem kraj ten przedstawia się jak jedno wielkie jezioro. To ciągle żaglowanie służy im jednak i wyrabia — tak u mężczyzn jak i u kobiet — silną budowę ciała, zdrowie i pogodę umysłu. — Zimą życie nie zamiera tam, lecz wre jak w innych porach roku, z tą różnicą, że zamiast łodzi są w użyciu długie łyżwy i sanki.

Podobnie jak te dwa kaiki, tj Górne i Dolne Łużyce, różnią się też ich mieszkańcy i mową i strojem: narzecze Górnych Łużyc odmienne jest od Dolnych; podczas kiedy pierwsze więcej zbliżone do czeskiego, drugie rzec można, że do naszego języka.

Strój kobiet na Górnych Łużycach, zwłaszcza saskich — koło Drezna — ciemny przeważnie, jakby żałobny i także, bo czarne wstęgi zdobią głowy i zwieszają się po sukniach Sorbek aż do ziemi prawie. Dolne - Łużyczanki natomiast ubierają się weselej; biały kolor przeważa i białe też oryginalne czepce noszą na głowach. — W Berlinie dużo ich się widywało i zapewne jeszcze widuje; dla pięknego ich serskiego stroju bogate Berlinianki biorą je chętnie do posług domowych i do dzieci. Mężczyźni strój narodowy to sukmana; trudno jednak ją zobaczyć, podobnie jak u nas niestety: wszyscy prawie „na modę” miejską porzebierani.

Co do religii to część katolicka, ale duża, bardzo duża jest luterkańska. Podstępem wciągano do niej Serbo - Łużyczan. Gdy swego czasu wysłannicy nowego wznawiania nie mogli wprowadzić zapożyczonego języka niemieckiego religii Lutera między lud serbski, zaczęli przejściowo posługiwać się językiem serbskim, a środek ten przemówił bardzo skutecznie do serca i duszy narodu. Lud, w ten sposób w sieć chwytany, w wielkiej części nie wyplątał się z niej dotychczas, a jest to jego podwójnym nieszczęściem: odstępstwo od katolickiej wiary ojców to najbliższa droga do odstępstwa narodowego, do germanizacji.

Wiel jeszcze rzeczy ciekawych możnaby powiedzieć o tych Serbo - Łużyczanach czyli Wendach. To jednak co o nich napisałam, wystarczy, byśmy, jadąc przez ziemie łużyckie, nie patrzeli na nie jak na cmentarzysko pogrzebanego narodu (za jaki go cudzoziemcy uważają), lecz byśmy spoglądali jak na żywy lud, którego dzieje mogą nam być w niejednym przestroga i od którego niejednej rzeczy moglibyśmy się nawet nauczyć. Lud ten, co po tysiącletniej prawie szarpaninie i niewoli, daje jeszcze przecież liczne dowody swej żywotności, a małymi środkami, wśród ciasnych okoliczności i bardzo trudnych warunków, zdziałał stosunkowo tyle, zasłużył w zupełności na nasz szacunek.

Klucznica niebiańska.

(Legenda o Matce Boskiej.)

We Wiedniu, austriackim mieście stołecznym, jeszcze dzisiaj znajduje się uliczka znana pod na-

zwą „Uliczka Bramy niebieskiej”. Tutaj przed niedawnym jeszcze czasem stał klasztor żeński pod wezwaniem św. Agnieszki, w podaniu ludowym znany był jednak jako klasztor „Klucznicy niebiańskiej”. Jak się to stało, chcemy tu w krótkości opowiedzieć. Na początku XVI wieku żyła w tem zaciszu klasztornej dziewica, odznaczająca się szczególnymi cnotami, a zarazem urodą. Mimo lat młodocianych sprawowała urząd klucznicy ku ogólnemu zadowoleniu siostry przełożonej, jako też swych koleżanek.

Gdy pewnego wieczora znużona całodziennymi trudami zapomniała odmówić zwykłe modlitwy wieczorne przed cudownym obrazem Najśw. Marii Panny, znajdującym się tuż przy furtce w zagłębieniu ściany, miała w nocy okropne widzenie. Oto w powabnej postaci ukazał się jej we śnie szatan, starając się ją uwieść pochlebstwami i obietnicami. „Nie zamieniaj — mówił uwodziciel — światła niebiańskiego i ziemskiej świeżości z murami klasztornymi i ciasnymi celami. Błogosławieństw natury wol no nam używać bez najmniejszego grzechu. Poza klasztorom także istnieją domostwa pokoju i cnoty”.

Spokój jej duszy był odtąd zakłócony. Kilka nocy z rzędu ponawiała się szatańskie pokusy, aż dziewica wkońcu im uległa. Wśród ciemności nocnych porzuciwszy raz jednego posłanie, złożyła powierzony jej klucz furtki klasztornej przed obrazem Najświętszej Marii Panny i rzekła: Królowo niebieska! Niegodna Twoja służebnica rzuca się w zamęt świata, weź przeto klucz Twojego domu i czuwaj nad Twoją świętością.

Następnie opuściła mury klasztorne, rzucając się w zamęt świata. Minęło siedem lat, w których odstępczyni poznała do sytości rozkosze tego świata, ale zarazem nie była uchroniona przed żadną troską, chociażby i najboleśniejszą. Zdradzona miłość i czarna niewdzięczność otworzyły jej wreszcie olśnione oczy, a zarazem uczuła szczery żal. Tęsknota za porzuconym klasztorom coraz więcej się wzmacniała, aż wkońcu postanowiła do niego powrócić. Chciała prosić siostrę przełożoną o łaskę, czyby swego przestępstwa nie mogła odpokutować w murach klasztornych.

Znużona długotrwałą i męczącą podróżą, stanęła pokutnica wreszcie przed domem, w którym przepędziła lata młodości. Znowu panowała cisza nocna, gdy tymczasem z górnego ogrodzenia furtki klasztornej dochodził bładny płomyk, pochodzący od wiecznej lampy, umieszczonej przed cudownym obrazem. Drżącą ręką pociągnęła za dzwonek. Któż jednak opisać wzruszenie, jakiego doznała grzesznica, gdy w otworzonej nagle furtce pojawiła się Matka Boża z Dzieciątkiem Jezus na ręku, otoczona blaskiem niebiańskim i z serdeczną uprzejmością przyjęła nowonawróconą.

Pani niebiecka podała grzesznicy klucze od furtki klasztornej, które dziewica przed siedmiu laty złożyła przed wizerunkiem Matki Bożej i milcząco powróciła do zagłębienia w murze. Dnia następnego czując się bardzo osłabiona, była furtjanka opowiedziała swe przestępstwo siostrze przełożonej i zebrany towarzyszkom.

Zdziwienne ogólne opanowało wszystkie obecne, gdyż przez cały nikt jej ucieczki nie zauważył. Tak więc w jej postaci Najśw. Panna przez siedem lat za nią sprawowała urząd furtjanki.

Gdy klasztor z biegiem czasu ustąpić musiał nowemu zabudowaniu, umieszczono obraz cudowny w katedrze św. Szczepana, gdzie do dzisiaj doznaje powszechnej czci i szacunku.

Szlachezna zemsta.

Jest temu może sto lat, jak w miasteczku angielskim Monmouth w starej wilgotnej chacie umarły dwie staruszki nieomal z głodu i nędzy. Kiedy grabarz ukończył swoją pracę, błądy, wychudły chłopiec opuścił chatę, i ze zwieszoną na piersi głową skierował się ku głównej ulicy i po długim namyśle wstąpił do sklepu obuwia.

— Panie King, rzekł z płaczem, w domu nie mam już nikogo; muszę iść w świat. Możeby mi Pan sprzedał parę butów?

— A kto za ciebie zapłaci? odpowiedział artysta obuwia, rzucając podejrzliwy i nieufny wzrok na chłopca.

— a! sam zapłacę, jak tylko będę mógł. Zapewniam i reczę tak, jak się nazywam Will Jones.

Stary King popatrzał ponad okulary na chłopca, chwiejąc głową; potem wstał, wyjął ze szafy parę pięknych, mocnych butów i dał je chłopcu.

— Masz Will, powiedział, żeby nie mówiono o mnie, żem sierotę odprawił. Zapłacisz mi jak będziesz mógł, jeżeli nie, to tem gorzej będzie dla ciebie, jakkolwiek nie uczynię ci żadnego wvrzutu! Chłopiec podziękował i poszedł dalej, zapewniwszy jeszcze raz, że słowa dotrzyma.

Wiele lat upłynęło. Will Jones się niepokazywał. Majster King opowiedział sąsiadowi tę sprawę z chłopcem, a ten go wyśmiał. Mimoto obuwnik nie stracił wiary w jego sumienie i rzekł: — Will nie musi być jeszcze oszustem. Jeżeli nie ma pieniędzy, to jak będzie płacił? Z tego, że nie może zapłacić, nie wynika jeszcze, żeby był nieuczciwym.

Znowu przeszło kilka lat, gdy zjawił się na drodze do Monmouth, ubogi obszarpany człowiek. Wstąpił do gospody przy bramie i prosił o kawałek chleba. Lecz gospodyni zbyła go szorstko, a gdy znów prosił i błagał, poszczwalała go psiem. Żebrak opuścił dom i poszedł dalej ku miastu.

Udał się do burmistrza i błagał litości.

— Jestem Will Jones, rzekł. Od wielu lat błąkam się po świecie i szukam przytułku. Wszędzie jednak idzie mi źle i nie pozostało mi nic innego, jak powrócić tu, do rodzinnego miasta, w nadziei, że dobrzy ludzie, nie dadzą mi umrzeć z głodu.

— Ruszaj, wwnoś się stad co prędzej! krzyknął burmistrz. Monmouth nie może utrzymać żebraków. Poszukaj sobie innego miasta, bogatszego. I zatrzaskał drzwi po wyjściu Willa.

Will Jones znalazł się znowu na ulicy. Kiedy się obejrzał dokoła, spostrzegł w ciemnym kątku ulicy sklep poczciwego majstra Kinga. Wstąpił więc do niego.

— Panie King, prosił błagalnym głosem. Może Pan da Will Jonesowi kawałek chleba?

Majster spojrział na żebraka przez okulary i przypomniał sobie, że już go kiedyś widział.

— Aha, pewno chcesz mi zapłacić za buty? — zapytał.

— Oj nie, odpowiedział Will. Teraz jeszcze nie, ale jak tylko będę mógł, zapłacę.

— Słuchaj stara, zawołał szewc do żony. To ten sam Will wrócił, biedny, opuszczony, nie może mi za buty zapłacić; no, ale kto nie płaci, widać że nie może. Daj mu kawałek chleba; dług jego przez to się nie zwiększy, ale przyrzekł, że zapłaci. Will dostał kawałek chleba, za co z wdzięcznością ucałował rękę starca.

— Nie smuć się, chłopcze, pocieszał go starrzec. Ja zaczekam, a ty szukaj jeszcze gdzieś szczęścia.

Will opuścił powtórnie miasto. Szewc tymczasem nie myślał już więcej o butach.

Niedługo potem zajściu, pewnego pięknego poranku jechał wspaniały powóz główną ulicą miasteczka i zatrzymał się przed sklepem szewca.

— Ojcie King, zawołał jakiś znany mu głos. Chodź Pan na chwilkę, oddam Panu przynajmniej buty, które dałeś Willowki, a których nie mógł ci zapłacić.

— No, lepsze i to niż nic, pomyślał poczciwy szewc.

— Ot są, rzekł bogato ubrany Pan i podał mu pięknie rzeźbioną skrzyneczkę. — Są tak podarte, że musiałem je w tym kufereczku trzymać, aby ani jednego kawałka nie zgubić.

Majster King był tak odurzony, jakby spadł z nieba. Ten pan nie był nikt inny, tylko Will Jones, a nadto, gdy otworzył skrzyneczkę, znalazł tam wprawdzie stare, podarte buty, ale pełne złota. Zanim ochłonał ze zdziwienia, powóz już odjechał, zasłyszawszy tylko słowa: — Wspomnij Pan kiedy o Will Jonesie, który teraz jest baronem i członkiem Izby.

W kilka miesięcy potem stanął wspaniały budynek na pazórku miasteczka Monmouth. Na czarnej, marmurowej tablicy zotemi literami wypisane były słowa: „Schronisko dla ubogich, starych osób których Monmouth nie może wyżywić“.

W taki sposób zemścił się Lord Will Jones na rodzinnem miasteczku, za to, że jego matka i siostry skazało na głód, a jego na nędzę i tułaczkę.

Kogo coś ugadzi, ten żale wwdzi.

We wiejskim kościele, miał ks. proboszcz gromiące kazanie. Mówił o obowiązkach rodziców, tak, że niejednemu poszło aż w pietę. W szczególności zwracał uwagę na niebezpieczeństwa, na jakie narażają się ci ojcowie, którzy zaniedbują obowiązki, zamiast w gronie rodziny przesiadują w gospodach, zaniedbują żony i dzieci, a wreszcie i siebie samych, a idą tylko za głupią karczemną rozrywką. Słuchacze chwytali z natężeniem każde słowo proboszcza, miejscami jednak coś marsowo marszczyli czoła. W powrocie do domu żywo chłopcy rozmawiali, ale osobliwie jeden głośno i śmiało wgadzywał na proboszcza, twierdząc, że proboszcz do niego przemawiał. — Następnego dnia siedział tenże chłop z kilku robotnikami w jednej gospodzie przy obiedzie. Cała izba była nabita gośćmi. Obrażony chłop nie mógł i teraz wtrzymać i znów rozpuścił język na proboszcza. — Gdybym tak był mógł, dał w uniesieniu, to byłbym go był za kark ściągając z ambony.

— Mój kochany, rzekł jeden z gości, postuchaj no, coś ci powiem. Czyś widział kiedy zgrają psów?

— A bo co?

— Jeżeli kto rzuci w tę kupę kamieniem, to którego pies będzie wył, czy wszystkie?

— Wszystkie, jak wszystkie, ale ten z pewnością, w którego kamień trafi.

— A więc widzisz. Uderz w stół... kończyłem... Niec hto będzie bez urazu...

Ha, ha, ha, rozległo się po całej izbie. Obrażony chłop teraz już naprawdę się pogniewał, ale na siebie samego, że swą głupotą sam się wydał i napiętnował; widział bowiem, że nie proboszcz go napiętnował, ale on sam siebie zdradził i wystawił na ogólne pośmiewisko.